

Mazur 3 Maja

*Witaj majowa Jutrzenko,
Świeć naszej polskiej krainie,
Uczcimy ciebie piosenką,
Która w całej Polsce słynie:
Witaj Maj, piękny Maj,
U Polaków błogi raj!*

*Witaj dniu Trzeciego Maja,
Który wolność nam zwiastujesz,
Pierzchła już ciemieńców zgraja,
Polsko dzisiaj tryumfujesz.
Witaj Maj, piękny Maj,
U Polaków błogi raj!*

*Wrogów tłuszcze – wyrok Boski
Zmiotł z powierzchni polskich łąków,
Znikła boleść, znikły troski,
Nie ma w Polsce obcych panów.
Witaj Maj, piękny Maj,
U Polaków błogi raj!*

Tadeusz Wisiecki

Warszawa

Fragment wspomnień spod Monte Cassino

Na początku maja stacjonowaliśmy w miasteczku odległym 45 km na południe od Monte Cassino. Nikt nie przypuszczał, że wojsko polskie będzie użyte do walk o to wzgórze. Wiedzieliśmy, że każde z dotychczasowych trzech natarć – Amerykanów i Francuzów, Brytyjczyków oraz Nowozelandczyków z Hindusami – zakończyło się niepowodzeniem i dużymi stratami. Nikt nie musiał nam mówić o rozpoczęciu ataków, bo ziemia aż dudniła od artylerii.

Rano 11 maja wsiedliśmy do samochodów. Byliśmy w dobrym nastroju, opowiadaliśmy kawały. W pewnym momencie minęliśmy drogowskaz: Neapol-Ortona-Cassino. I nagle miny nam zrzedły, bo jedziemy właśnie na Cassino. Wiedzieliśmy już gdzie będziemy walczyć.

Rozładowaliśmy się 15 km przed Cassino. Dowódcy plutonów poszli na odprawę, a nam kazano rozłożyć chlebaki i pasy w jednym rzędzie na ziemi. Ludzie z komórki maskowniczej pomalowali je rozpryskowo szarym kolorem, takim jak kamienie na Monte Cassino. Potem rozdano nam maskownicze kurtki.

Na stole plastycznym terenu pokazano nam dokładnie, gdzie mamy nacierać. Poinformowano, że nawała artyleryjska rozpocznie się o godzinie 23-ciej. Natarcie miało ruszyć dwie godziny później.

O godz. 5-tej “nasze” wzgórze miało być zdobyte przez wojska 1 Brygady Strzelców Karpackich. My mieliśmy tam dotrzeć i nacierać dalej bezpośrednio na wzgórze klasztorne.

Po południu, na zbiórce całego batalionu przemówił do nas dowódca. Potem odmówiliśmy modlitwę, odśpiewaliśmy “Boże coś Polskę...”, a następnie pojechaliśmy samochodami za rzekę Rapido, w bezpośredniej bliskości naszych linii. Dowódca powiedział, że będzie nas wspierało tysiąc dział. Powtarzaliśmy to sobie i myśleliśmy, że przy takim wsparciu nie będzie miejsca gdzie nie spadnie pocisk.

Kiedy przejeżdżaliśmy, na drogę wyszli włoscy chłopci. Uklękli na ziemi i przeżegnali się. Ktoś z naszych krzyknął w ich stronę po włosku, że nie ma się czego bać. Było inaczej.

Zrobiło się już ciemno, a my wciąż jechaliśmy wilysami. Niemcy ostrzeliwali nas tylko ogniem nękającym. Gdy mijaliśmy stanowiska artylerii, była już godzina za pięć minut 23-cia. Zostało tylko 5 minut. Nasi artylerzyści, rozebrani do połowy, trzymali już w rękach pociski. Kiedy zaczęła się kanonada, zrobiło się jasno jak w dzień. Tysiąc dział!

Ostatni odcinek pokonaliśmy pieszo, maszerując gęsiego w 5-metrowych odstępach. O godz. 1-szej w nocy rozpoczęło się natarcie wojsk pierwszego rzutu. Po kilku minutach zauważyłem pociski niemieckich karabinów maszynowych. Dziwiłem się, że po takim ostrzale artyleryjskim ktoś tam jeszcze został przy życiu...

Po krótkim odpoczynku doszliśmy do ścieżki ewakuacyjnej, gdzie nas zatrzymano. Zaczęli schodzić pierwsi ranni. Pytaliśmy ich, jak tam jest? Odpowiadali, że jest dużo zabitych i rannych. Żołnierze dowiadawali się po drodze o swoich ojcach i braciach, którzy nacierali w tamtym pierwszym batalionie, że zostali zabici lub są ranni.

A rannych nieśli, i nieśli. Przez całą noc. Ogarnęła nas wściekłość, bezsilność i smutek.

Około południa otrzymaliśmy od rannych bardzo już spóźnioną wiadomość, że wzgórze zostało zdobyte, ale z całego batalionu utrzymują je żołnierze w sile jednej kompanii. Po godzinie dowiedzieliśmy się, że wzgórze utrzymuje już tylko 30 żołnierzy. Wieczorem zeszło ich ze wzgórza... dziesięciu.

Otrzymaliśmy rozkaz podejścia bliżej i okopania się u podnóża wzgórza. Zaczęliśmy, po dwóch, układać "kojce" z kamieni, które miały nas chronić przed odłamkami. W tym miejscu spędziliśmy następne dni przed drugim szturmem. Niemcy co godzinę kierowali na nas silny ogień. Często po takiej nawale pozostawał jeden lub dwaj zabici.

17 maja rano dowódca batalionu krzyknął: *Żołnierze!* – i wychylił głowę z "kojca" – *już o 5-tej rano Niemcy uciekli ze wzgórza klasztornego i ze wzgórza 593. Anglicy przerwali na lewo, w dolinie, front.* Wiadomo, jaka jest duma polskiego żołnierza. Przerwaliśmy dowódcy: *Panie pułkowniku, co to, ANGLICY A NIE MY?! Gonić tych...!*

No, i zerwaliśmy się. Pułkownik nie musiał wydawać rozkazu do natarcia. Biegliśmy koło Domku Doktora. Niemcy nie strzelali, prawdopodobnie byli zaskoczeni. Tylu ludzi biegnie! Może chcą się poddać? Strzelaninę rozpoczęli dopiero wtedy, gdy doszliśmy prawie pod szczyt wzgórza. Otworzyli do nas ogień ze wszystkich stron - na wprost, z lewej, ze wzgórza klasztornego i z prawej, z Mass Albanety. Obrzucali nas także granatami z przeciwległego wysokiego stoku. Jeden z nich wybuchł pod cekaemem i zmasakrował celowniczu twarz. Stracił oko ale przeżył. My naszymi karabinami maszynowymi odgryzaliśmy się Niemcom na ile było nas stać.

Dowódca batalionu ppłk Fanslau podrywał kompanię za kompanią, pluton za plutonem. Leżący przy mnie kapral tego batalionu krzyknął do dowódcy: *Panie pułkowniku, niech się pan schowa*, ale on odkrzyknął: *Synu, mnie już wszystko jedno!* Za chwilę strzelec wyborowy z klasztoru trafił go prosto w serce.

Dowodzenie przejął zastępca, Ormianin Melik Sofians. Atakowaliśmy do wieczora, głównie granatami, aby wykurzyć Niemców z ich bunkrów. Wreszcie w nocy cały teren został oczyszczony.

Rano 18 maja poszły na wzgórze klasztorne patrole z naszego wzgórza oraz z 12 Pułku Ułanów Podolskich, którzy ubezpieczali nas z lewej strony. Patrzyłem przez lornetkę. Zobaczyłem ukazującą się białą płachtę, która chowała się, to znów ukazywała. Nasz dowódca powiedział przez radio do patroli: *Uważajcie! To może być podstęp! A może poddają się?* Po chwili zobaczyłem, jak Niemcy wychodzą z podniesionymi rękami.

Niedługo potem załopotąła na ruinach biało-czerwona flaga. Dowód dla całego świata, że dokonał tego II Korpus Polski.

Były wśród nas i łzy radości, i łzy bólu. Radości – bo pokazaliśmy światu, że żołnierz polski nie złożył broni w 1939 roku, że walczyliśmy nadal, zdobyliśmy Monte Cassino, i że wiadomość ta dotrze do okupowanego Kraju, podtrzymując rodaków na duchu. Smutek był usprawiedliwiony – straciliśmy tylu kolegów...

Dziś u podnóża wzgórza 593 znajduje się cmentarz, a u wejścia do niego napis: *Przechodniu powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni Jej służbie. To testament dla wszystkich Polaków: być wiernym Ojczyźnie.*

Natomiast na szczycie znajduje się pomnik naszej dywizji z inskrypcją: *Za naszą i Waszą wolność my, Żołnierze polscy oddaliśmy Bogu ducha, Ziemi włoskiej ciało, a serce Polsce.*

Wtedy jeszcze wierzyliśmy, że przez Monte Cassino droga wiedzie do Polski. Dopiero Jałta w 1945 roku uzmysłowiła nam, że zostaliśmy sprzedani, że nas – jak mówiliśmy – przehandlowano.

Gen. Anders chciał, byśmy walczyli dalej, ale biliśmy się już bez takiej zaciekłości jak pod Monte Cassino.

Gdyby gen. Anders nie przyjął brytyjskiej propozycji zdobywania Monte Cassino, gdyby odmówił, Anglicy daliby nam taki odcinek frontu, na którym straty mogłyby być podobne, ale świat nie dowiedziałby się, że żołnierz polski wciąż walczy.

Dziękuję serdecznie naszym Czytelnikom za życzenia z okazji Świąt Wielkiej Nocy i za pamięć, w imieniu własnym, Zarządu Klubu i Zespołu Redakcyjnego

Irena Kotowicz

Litania na Monte Cassino

Po coście przyszli
Naruszać ich sen,
Nad którym klęczy
I twarz w dłoni chowa
Dolorosa Mogilna,
Aniołowie ciągnący
Żałobny tren,
Opowieść bolesną
Od Lwowa
I Wilna?

Krzywda nasza
Jest taka, jak ich,
Co się kładli na skały
Pod ogień i ołów:
Wygnańmy z domu,
Gdzie czarny wicher
Przewrócił świece
I podarł mszały
Zabitych deskami
Kościołów.

Umilkli. I pochyłili się.
Uklękli. I zamyślili się.
Pielgrzymujący aniołowie.

I pochyliły się nisko
Skrzydła ich srebrne,
Ręce złożone
Oczy doniebne
I modlą się razem
Pod twoją obronę,

Panie, co nosisz
Z tarniny koronę
Na umęczonej głowie.

I każdy wziął rękę,
Jak dawniej w kościele,
Wstęgę z nutami
I skrzypce, i smyczek
I rozpoczęli
Święci śpiewacy
Arię niebieską
Z pobliskich kantyczek.

I popłynęły modlitwy,
Pątnicze błagania,
Jak latem u nas
Pachnąca lipami
W niedzielę
Szemrze
Litania.

I szumiało po łąkach
I z pól wiało pszennych
I w ziemię zapadło
Głęboko, aż w sen ich
I szczęście się stało
I stała się groza
I przyszła matka
Ich. Dolorosa,
I kości w podglebiu
Ruszyły się śpiące,
Jedna i druga
I sto i tysiące,
I gniew szedł za gniewem
I wojsko za wojskiem
I nagle się wszystko

Objęło tym śpiewem
I zbiegło się w górę
Wysoką, urwistą
I ogniem spłonęło
I dokonało się
W śmierci i świetle
Strasznego dzieło,
Zakłęcie.

Więc umilkli. I pochylali się
Nad poległymi. I zasłuchali się
Pielgrzymujący aniołowie.

Nie wołajcie nam już o krzywdzie,
Nie mówcie o naszym dziele,
Zaśpiewajcie nam
Zgrzebną litanię
Jak pod lipami,
W chłopskim kościele.
O nowogrodzkich kapliczkach,

O leśnych jeziorach litewskich
Poszukajcie nuty w kantyczkach,
Poszukajcie
W śpiewnikach niebieskich,
Jak pachnie podolskie konopie
I w sadzie powidło jesienne,
Jak Dniestr przez jary się kopie,
Winnice jak grzeją się senne
I latem jak kwitnie tam len.

Poszukajcie tej nuty
W kantyczkach,
Bo bez niej pod ciężką chwałą
Żałobny skamieniał nam tren
I serce nam skamieniało

A szczęścia tu przecież mało,
Bo bez niej dla nas jest tylko
Noc bardzo czarna,
Południca cmentarna,
Drapieżny,
Wilczy
Sen.

Katyń

... Słowo, które nawet po 64 latach kojarzy się z okrucieństwem, bestialstwem i podstępem. Okrucieństwem wobec bezbronnych, bestialstwem wobec ofiar, oszustwem popełnionym wobec ludzi, którym wpierw kazano wierzyć, że uwolnieni powrócą do swoich rodzin, a później wymordowano ich po kolei bez żadnego ostrzeżenia, podstępnie, bez możliwości napisania ostatniego listu, odmówienia ostatniej modlitwy.

Było to także oszustwo wobec całego narodu polskiego, okłamywanego przez pół wieku na temat tej zbiorowej egzekucji.

NKWD miało w stosunku do jeńców polskich trzy wstępne cele:

- wyciągnięcie od nich informacji istotnych dla ZSRR,
- masową indoktrynację i klasyfikowanie jeńców,
- wytypowanie kolaborantów.

Wzięci do niewoli jeńcy polscy znajdowali się w stanie ciągłego napięcia i niepokoju. W ciągu 30 dni runął cały ich świat. Zostali wyrwani ze swego środowiska kulturowego i rozłączeni z rodzinami. Zostali uwięzieni i nie wiedzieli, czego się mają spodziewać po tych, którzy ich pojмали. Władze obozowe robiły natomiast wszystko, aby ten niepokój podsycać. Pozbawiano jeńców natychmiast każdej rzeczy, która mogłaby posłużyć im jako moralne oparcie.

Przy każdej też okazji mówiono im, że Polska już nie istnieje, pogardliwie wyśmiewano się z polskiej kultury, atakowano brutalnie wartości, w które jeńcy wierzyli, lecz ponad wszystko wbijano im do głowy, że są przestępcami ponieważ nie są komunistami. Grupy jeńców starano się rozbijać na odrębne jednostki i niszczyć ich tożsamość. Listy nie tylko cenzurowano, ale czasami je cofano. Nie pozwalano im nawet przyznawać się, że są jeńcami. Obóz miał stempel "Dom Wypoczynkowy im. Gorkiego", a adres zwrotny: Kozielsk, obwód Smoleńsk, skrytka pocztowa nr 12.

Ledwie zdołali nawiązać kontakt, już ich rozdzielano. Ludzie o zdolnościach przywódczych natychmiast byli z obozu wysyłani. Modlitwy były zabronione, ale oficerowie modlili się bez względu na konsekwencje.

Pewnego dnia NKWD wydało rozkaz, aby następnego dnia wszyscy jeńcy stawili się na apelu bez oznak stopni wojskowych i odznaczeń na mundurach. Większość usłuchała.

Ale jeden z oficerów, pułkownik, zwrócił na siebie uwagę, ponieważ miał wspaniale wypolerowane buty, pas służbowy, oznaki swego stopnia i Krzyż *Virtuti Militari*. Przechodzący przed frontem NKWD-zista zadał pułkownikowi kilka pytań, m. in. za co otrzymał *Virtuti*. *Za walki z bolszewikami pod Lwowem* – odpowiedział Polak. Na to NKWD-zista uderzył pułkownika w twarz, aż go zakrwawił.

Następnego dnia setki oficerów stanęło do apelu w wyglansowanych butach, w pasach, z odznaczeniami na piersiach – dla solidarności z kolegą. Oficerem tym był płk Felsztyn (pochodzenia żydowskiego).

Obóz w Kozielsku miał swoją „tajemniczą postać” – generała NKWD W. M. Zarubina. W obozie posiadał najwyższy stopień wojskowy i chociaż nie był jego komendantem, dzierżył w obozie ster rządów. Wydawało się jeńcom, że kierował zespołem śledczym NKWD, jednak trzymał się od niego z daleka. Jego pozycja i funkcja w obozie nie była nigdy sprecyzowana.

W przeciwieństwie do personelu obozowego był pod każdym względem jednostką wyróżniającą się. Bardzo uprzejmy w towarzyskich kontaktach z jeńcami, zachowywał się z godnością i doświadczeniem człowieka wrażliwego. Był wykształcony, znał język francuski, niemiecki i trochę angielski. Swoim zachowaniem zdobył szacunek polskich oficerów do tego stopnia, że wbrew zasadzie nie oddawania honorów sowieckiemu personelowi, Zarubinowi jeńcy salutowali, on zaś skrupulatnie oddawał każdemu honory.

Czasami wydawało się, że przypadkowo zapraszał jakiegoś jeńca na pogawędkę. Obecny był przy niej zwykle jeszcze inny oficer NKWD z obozowej służby wywiadowczej. Podawano herbatę i papierosy, czasami nawet pomarańcze. W takim komforcie jeńiec „tętnił” – fizycznie i psychicznie. Wywiązywała się żywa rozmowa, obficie przetykana opiniami na temat filozofii, teorii politycznych czy stosunków międzynarodowych. Opinie wygłaszał przeważnie jeńiec. Gen. Zarubin przywiózł ze sobą bogatą bibliotekę, około 500 tomów, w języku francuskim, niemieckim i angielskim i chętnie pożyczał te książki, zezwalając Polakom na samodzielny ich wybór. **Książki te miały dla jeńców większą wartość niż chleb.**

Gen. Zarubin nigdy sam nie angażował się w działalność propagandową, za to był niezwykle uważnym słuchaczem. Polscy oficerowie znaleźli wśród Rosjan kogoś, z kim mogli się porozumieć. W sensie intelektualnym była to „pokrewna” dusza. W gabinecie Zarubina jeńcy zachowywali poczucie własnej godności. Nie trzeba było głębokiej wiedzy psychologicznej, że w takich okolicznościach jeńcy wypowiadali się swobodniej, rozmawiali jak „oficer z oficerem”, a nie jak z „pachołkiem NKWD”. W niewoli pozostali bowiem nadal sobą, kierowali się zasadami honoru, sięgającego swymi korzeniami czasów średniowiecznego rycerstwa. Trzeba co nieco wiedzieć o polskich oficerach sprzed 1939 roku, aby to zrozumieć.

Jednakże starszym polskim oficerom rozmowy z Zarubinem układały się w jakiś niepokojący schemat. Krążyły opinie, że Zarubin coś sprawdzał, czego jeńcy nie potrafili dokładnie określić. Generałowie w Kozielsku martwili się.

Gen. Minkiewicz postanowił więc dowiedzieć się czegoś o zamiarach Zarubina i uciśzyć rosnące plotki, które wzmagaly niepokój jeńców. Poszedł sam do Zarubina i odbył z nim następującą rozmowę:

- Minkiewicz: - *Proszę nie wzmacniać naszego lęku teraz, gdy rozchodzą się te plotki, ale poinformować nas co zamierzacie z nami zrobić?*
- Zarubin: - *Nie sądzę, aby to było właściwe (...) Oszalelibyście, gdybym wam powiedział. Zapewniam was, to byłoby nieludzkie. Zapewniam pana generale, lepiej abyście nie wiedzieli, co chcemy z wami zrobić.*

Przytoczona rozmowa została przez gen. Minkiewicza opowiedziana płk Felsztynowi bezpośrednio po powrocie z biura Zarubina. Płk Felsztyn przeżył i złożył zeznania. Ciało gen. Minkiewicza znaleziono w Katyniu.

Jako przykład decyzji, które prawdopodobnie odzwierciedlały preferencje przesłuchujących NKWD-zistów, można podać przypadek **jedynego** ocalałego z Kozielska generała. W Kozielsku znajdowało się pięciu polskich generałów. Wszystkich, poza gen. Wołkowickim, znaleziono w Katyniu.

Dlaczego ocalał? On sam przypuszcza, że pewne wydarzenie w jego życiu zyskało mu przychylność przesłuchujących. Mianowicie jeszcze za caratu był oficerem w rosyjskiej marynarce wojennej. Brał udział w słynnej bitwie pod Cuszimą, przegranej przez Rosjan.. Służył na statku, który został przez rosyjskiego admirała poddany Japończykom. *Byłem jedynym oficerem, który sprzeciwiał się poddaniu okrętu.* Być może był to dodatkowy czynnik wpływający na oszczędzenie życia tego starszego już wiekiem człowieka?

W Starobielsku było ośmiu generałów o wielkich zasługach bitewnych. Zginęli wszyscy.

W trakcie przygotowywania do druku publikacji, z której czerpię te informacje, autor otrzymał z Australii poniższą relację żony porucznika lotnictwa Jana Mintowta-Czyża, jeńca Kozielska, który ocalał.

W Gniezdowie na stacji każdy transport stał i czekał, podczas gdy zabierano kolejno po 20 lub 40 jeńców samochodami. Po pewnym czasie ci co byli w wagonie, słyszeli strzały. Została grupa około 96-98 jeńców, w której był Jaś. Trzymano ich na stacji bardzo długo. Zaczęli pytać, na co czekają? – “Wasz wopros reszajetsia w Moskwie”. – Polacy zaczęli mówić, że chcielibyśmy być razem z kolegami, na co im odpowiedziano: “Pożałujecie tego”. – Jaśka wywołał jeden z oficerów NKWD i po normalnych zapytaniach o nazwisko, imię itp., powiedział : “Twój ojciec był doktorem w szpitalu w Chersonie w czasie wojny 1914-1918 i wyście

tam mieszkali z matką, i tam był jeszcze jeden chłopczyk, który zmarł” (to był młodszy brat Jaśka, Staś). “Czy pamiętasz chłopców z sąsiednich domów, z którymi się bawiłeś?” Jaś mu na to, że miał kolegę Pietię. “A czy pamiętasz jego nazwisko?” –Jaś niestety nie pamiętał. – “A jeśli ja ci powiem parę nazwisk, czy myślisz, że sobie przypominisz?” – i wymienił trzy nazwiska. Przy trzecim Jaś zatrzymał się i mówi, że to był Pietia Pszeniczny. Na co usłyszał: - “To ja nim jestem”.

Do tej pory nie wiadomo, czy to ten Pietia uratował Jaśka od Katynia i dołączył do grupy, którą przewieziono do Griazowca. W obozie tym zaczęła się propaganda sowiecka: część poszła na współpracę, z drugiej strony powstała organizacja opierająca się propagandzie i Jaś był w jej egzekutywie. To spowodowało wywiezienie go do Moskwy – przeszedł Łubiankę, Butyrki i Lefortowo. Na Łubiance musiał podpisać swój własny wyrok śmierci. W końcu NKWD nie dostało żadnych informacji od Jaśka i w bardzo złej formie fizycznej odwieźli go z powrotem do Griazowca. Wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z gen. Andersem. Kpt. Jerzy Tumaniszwili znał go dobrze. Spotkał na stacji w Londynie, prawdopodobnie w 1943 r.. “Nie poznałem go. Jasiek był dla mnie zawsze uosobieniem męskości i fantazji. Jego szlachetna twarz o przystojnych rysach była zmiażdżona. Nos rozbity, oko jedno gdzieś przesunięte, czoło zmarszczone, przedwcześnie wyłysiał. Widząc przerażenie w moich oczach, powiedział: “Bili mnie... bili wiele razy, ale nie dałem się”

Kto wydał rozkaz zgładzenia polskich oficerów? Stalin czy Beria? Udało się ustalić drogą poszukiwań czterdziestu kilku wyższych funkcjonariuszy NKWD, którzy z całą pewnością byli związani z planowaniem, przesłuchiwaniami i wykonaniem egzekucji na 15 tysiącach polskich jeńców.

Ci, co przeżyli obozy powtarzali wciąż, że sowiecki personel administracyjny, nie należący do NKWD, był całkiem ludzki. Sowieccy lekarze i pielęgniarki zaskarbili sobie uczucia i szacunek jeńców. Wykonywali swoje obowiązki z typowo słowiańskim, nieskrywanym współczuciem.

Próba indoktrynacji Polaków przez NKWD kompletnie się nie powiodła. Aż 18 miesięcy zajęło im “wyprodukowanie” 13-tu **względnie** “czerwonych Polaków” z pośród wszystkich jeńców.

Gen. Zarubin, człowiek o nieprzeciętnej inteligencji i wykształceniu pojawił się w Kozielsku prawdopodobnie jedynie po to, aby pobrać “próbkę” światopoglądu oficerów polskich.

Kenneth Marc Colby, psychiatra, tak komentuje ten fakt: *Należy wątpić, aby próby załamania jeńców miały swe źródło w jakiejś systematycznej teorii osobowości czy psychopatologii. NKWD najprawdopodobniej korzystało ze swej codziennej wiedzy o ludzkiej psychologii, aby ich zastraszyć i zdeorientować przy zastosowaniu wszystkich środków, o których*

wiedzieli, że wywołują zaburzenia. W rezultacie trzymano jeńców w stanie lęku i wrogości, nie pozwalając przejść do stanu apatii i zubożenia, które mogłyby posłużyć jako skuteczne środki obrony. Byli oddzieleni od swej ojczyzny i najbliższych, a ich tęsknota podsycana była nadawaniem muzyki Chopina i manipulowaniem ich przywiązania do psów. Zmieniano im wciąż warunki życia dla zniweczenia prób adaptacji, które w końcu prowadzą do stabilizacji. Pozostawiono tylko jedno wyjście w tej sytuacji – zostanie komunistą. Aby to uczynić łatwiejszym, Zarubin funkcjonował jako ideał, z którym można było się utożsamić. Swym charakterem i wzorowym zachowaniem demonstrował możliwość jednoczesnego bycia człowiekiem kulturalnym, oficerem z kodeksem honorowym i komunistą.

Powyższe wątki, głównie natury psychologicznej, przedstawiłam w oparciu o cenną książkę Janusza K. Zawodnego pt. „Katyń”, Wyd. KUL 1989 r., przetłumaczoną na wiele języków, uznaną za najbardziej kompletne opracowanie zbrodni katyńskiej.

Notatka o Autorze: Janusz K. Zawodny, rocznik 1921. Uczestnik Powstania Warszawskiego, ppor. AK, dwukrotnie ranny. Od 1945 r. żołnierz II Korpusu Polskiego (12 Pułku Ułanów Podolskich).

Od 1948 r. w USA. Doktorat na Uniwersytecie Stanford. Profesor, wykładowca politologii i stosunków międzynarodowych. Członek instytutów naukowych w Princeton, Stanford i Oxford. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Irena Kotowicz

Warszawa

Wydarzenia z lat 1937-1945 w woj. tarnopolskim na przykładzie miasta i powiatu Brzeżany

Lata 1937-1939

Tu, na wschodnich polaciach Polski, gdzie ścierały się ze sobą dwa nurty narodowościowe – polski i ukraiński, byliśmy narażeni na skrajnie nacjonalistyczne działania OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów). Działała ona głównie na terenie wiejskim, szczególnie tam gdzie wioski były jednonarodowościowe lub z przewagą ludności ukraińskiej.

Już latem 1937 r. rozpoczęły się, a w 1939 r. nasiliły, organizowane przez OUN manifestacje antypolskie. Nie tylko województwa poleskie i wołyńskie, ale także tarnopolskie, w tym Brzeżany stały się centrum ukraińskich demonstracji i przemarszów organizacji “sportowych” Łuh na trasie: Narajów Wieś – Łapszyn – Brzeżany, aż na górę Łysonię, gdzie w czasie wojny polsko-ukraińskiej (1918-1919) zginęło kilka tysięcy strzelców siczowych z armii ukraińskiej.

Tego typu demonstracje i zloty tajnej organizacji “Płast” odbywały się w Wierzbowie. Zorganizowano również w brzeżańskiej cerkwi św. Trójcy w listopadzie 1938 r. ceremonialne “Zaduszki”, poświęcone pamięci wspomnianych strzelców.

Na zlot członków OUN w dniu św. Piotra i Pawła przybyli do cerkwi w Brzeżanach chłopcy z Byszek, Dybszcza, Koniuch, Mużyłowa, Szybalina i innych wsi. Przybyli na “służbę Bożą” uzbrojeni w kije i broń palną, ukrytą w zmyślnie skonstruowanych laskach. A po pontyfikalnej mszy rozpoczęli bicie Polaków i Żydów. Dopiero ściągnięta z pobliskiego Raju policja konna przepędziła “mołojców”.

Po tym wydarzeniu rozpoczęły się bandyckie ekscesy i napady uzbrojonych bojówek OUN na polskie wsie oraz kolonistów (b. żołnierzy legionowych) w Kozówce, Teofipólce, Potoku, Żołnówce, Rybnikach. Nie cofały się one też przed napadami na posterunki Policji Państwowej. (27 lutego 1937 r. zastrzelony został w Dryszczowie komendant policji z Urmania – Witallis Kagaczewski).

Na skutek nasilania się terroru i dezorganizacji życia publicznego na terenie powiatu brzeżańskiego, władze administracyjne zawiesiły tu działalność licznych nacjonalistycznych placówek ukraińskich: 59 czytelni „Proświta”, 38 kół „Ridnej Szkoły”, 30 kół „Silskiego Hospodara”, 8 oddziałów „Łuhu”, 2 oddziały Stow. Gimnastycznego „Sokił”, 28 kół „Sojuza Ukraïnok”, 7 placówek „Orłów” oraz dwa oddziały ukraińskiej „Akcji Katolickiej”¹.

W nocy z 23/24 sierpnia 1939 r. Rzesza Niemiecka i Związek Radziecki podpisały na Kremlu pakt nieagresji... wraz z tajnym protokołem, przynoszącym w efekcie IV rozbiór Polski. Komunikaty nadane przez radio – wstrząsnęły stolicami świata.

Na terenie kraju trwała już mobilizacja wojska. 51 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych w Brzeżanach przystąpił do niej popołudniu 27 sierpnia. 12 Pułk Artylerii Lekkiej, stacjonujący koło „Narodnego Domu”, mobilizował swych rezerwistów i zbierał młode konie z całego powiatu². Ukraińcy swoje konie ukrywali w okolicznych lasach, mówiąc, że „ich konie są tylko dla armii ukraińskiej”. Nasze władze nie wyciągały z tej postawy obywateli polskich - Ukraińców żadnych konsekwencji.

Jeszcze się wojna nie rozpoczęła, a w Brzeżanach zrobiło się już niebezpiecznie. Ukraińskie organizacje nacjonalistyczne coraz śmielej demonstrowały swoją siłę. OUN i Łuh otrzymały dla swoich działań we wsiach: Byszki, Koniuchy, Mieczyszców, Rybniki, Szybalin, Wierzbów błogosławieństwo greckokatolickich kapłanów, którzy pełnili w tych organizacjach dowódcze funkcje. Wspierani byli ponadto przez Niemców, którzy dostarczali im sprzęt radiowy, pieniądze i krótką broń, a w ramach współpracy szkolili Ukraińców z Brzeżan w Niemczech.

Sowieci również ściśle współpracowali ze swymi ukraińskimi towarzyszami z KPZU (Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy), w której znajdowała się grupa biedoty żydowskiej, odtrącona przez swoich zamożnych współwyznawców jako lenie i nieroby, a także Ukraińcy, którzy po 1921 r. przybyli do Polski jako repatrianci z Wielkiej Ukrainy. Z tymi ludźmi były w Brzeżanach stale kłopoty³.

Zmobilizowany 51 ppsk zasilił w ramach 12 DP armię „Prusy”. Policja Państwowa zabezpieczała drogi w kierunkach: Brzeżany – Tarnopol i częściowo Brzeżany – Podhajce – Czortków – Zaleszczyki. W Brzeżanach znalazła się przejściowo 21 Dywizja Piechoty Górskiej, rozbita w walkach z Niemcami. Jej pułki doznały poważnych strat. 14 września dywizja ta przeszła granicę węgierską i 15 września nie było już w mieście żadnej jednostki wojskowej Brzeżany praktycznie stały się „bezpańskie”.

¹ Wszystkie te organizacje do tego czasu swobodnie funkcjonowały.

² Wojsko za konie właścicielom płaciło.

Porządku i bezpieczeństwa strzegła jednak "Obrona Narodowa", a komendantem garnizonu był ppłk Rezner. Władza cywilna podlegała oczywiście władzy wojskowej. Dla ludności wprowadzono godzinę policyjną, od 20-tej do 6-tej rano. Front zbliżał się do woj. lwowskiego i zagrożony był już Rohatyn.

Dziewczęta z Harcerskiego Pogotowia Wojennego zbierały bieliznę i pościel dla szpitali polowych i szpitala miejskiego, panie z organizacji Białego Krzyża rozdawały posiłki uciekinierom. Miasto zatarasowane było furmankami, dorożkami i samochodami z uchodźcami.

Wśród Polaków panowało przygnębienie i strach, uciekinierzy dopytywali jak daleko stąd do Zaleszczyk, a u Ukraińców podniecenie, aktywizacja OUN i oczekiwanie na przyjście "wujka Adolfa".

W pierwszych dniach września, kiedy nasiliły się antypolskie wystąpienia OUN, organ prokuratury brzeżańskiej aresztował około 200 ukraińskich nacjonalistów, w tym trzech młodych wikariuszy grekokat. Wszyscy osadzeni zostali w miejscowym więzieniu. 15 września na polecenie ppłk. Reznera (a na prośbę Ukraińca dr. praw Wołodymyra Bemki) wszystkich za zgodą prokuratora zwolniono.

Prawie od 10 września rozpoczął się wielki napływ oficerów z rozbitych jednostek i każdy z nich chciał w brzeżańskiej Komendzie Uzuppełnień uzyskać jakiś przydział. Sytuacja była dramatyczna, bo PKU w Brzeżanach nie dysponowało żadnymi danymi, nie organizowało nawet pułku zapasowego i każdemu ze zgłaszających się polecano udać się na własną rękę przez Podhajce do Zaleszczyk.

Prócz wspomnianej "Obrony Narodowej" ppłk Rezner powołał Milicję Miejską złożoną z Polaków i Ukraińców, a komendantem jej został Ukrainiec, mgr praw Wołodymyr Łagusz. Zadaniem tej milicji było zabezpieczenie wszystkich obiektów wojskowych przed grabieżą i dewastacją.

16 września zlikwidowano Pow. Kom. Uzuppełnień, a dokumenty archiwalne miała zabezpieczyć milicja w archiwum miejskim. Komenda Garnizonu przekazała milicji 2.000 szt. karabinów z I wojny (połowa z nich była uszkodzona) oraz 5 karabinów maszynowych wraz z amunicją.

Z polecenia ppłk Reznera dr W. Bemko rozpoczął w tym samym dniu organizowanie samorządu miejskiego. W jego skład mieli wejść Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Przewodniczącym samorządu został W. Bemko, a jego zastępcami dwaj Polacy – lekarz miejski dr Stefan Biliński⁴ i prezes Sądu Okręgowego, sędzia Z. Osochowski. Kadencja rady trwała zaledwie 6 dni.

³ Już w maju 1933 r. odbył się pierwszy proces polityczny – rozprawa sądowa 19 komunistów, na której mało rozgarnięci oskarżeni po prostu oświadczyli: *Tak nam kazali mówić i za to nam płacili*. Wyroki otrzymali niskie, a 5 lat więzienia tylko 4 przywódców tej partii.

⁴ Został później zamordowany przez banderowców.

Natomiast owych 200 zwolnionych z więzienia Ukraińców już w kilka godzin później zorganizowało pierwszą ukraińską "partyzantkę" i rozpoczęło swą bandycką działalność na terenie Narajowa, Kuropatnik, Wierzbowa, Kozówki, Teofipólki i Buszcza. Podpalali polskie domostwa, mordowali, niszczyli polskie Domy Ludowe TSL. Zaś Ukraińcy z Milicji Miejskiej kradli broń, amunicję i sprzęt wojskowy zasilając OUN, której bojówki rozbrajały i mordowały pojedynczych żołnierzy polskich w rejonie: Podwysokie-Mieczyszców i Narajów-Byszki, gdzie zamordowano w lesie (za starą cerkwią) około 80 żołnierzy i prawdopodobnie oficerów oraz paru kapelanów. Takie oświadczenie złożyli bowiem świadkowie morderstwa – mieszkańcy wsi Kuropatniki.

Nastąpił ogólny bałagan. W Raju była jeszcze Konna Policja Państwowa, która w ostatniej chwili wraz z komisarzem S. Ostrowskim opuściła Brzeżany i już w rozproszeniu **niektórzy** dotarli do granicy rumuńskiej,

17 września w kościele oo. Bernardynów pw. św. Mikołaja, o. Robert Marek powitał przybyłych na mszę św., drżącym głosem zakomunikował, że w godzinach rannych wojska bolszewickie przekroczyły naszą wschodnią granicę, dodając – *Teraz już mamy wojnę z dwoma sąsiadami*. W świątyni ogólne poruszenie. Grający na organach brat Michał zaintonował hymn "Boże coś Polskę..." Wierni śpiewali płacząc. Ich szloch towarzyszył całej mszy.

Do Brzeżan bolszewicy weszli 19 września o godz. 4-tej nad ranem. Rano przy ul. Tarnopolskiej, obok mostku na Złotej Lipie przy przejściu do parku, kilkunastu brzeżańskich komunistów z KPZU (12 znanych z nazwiska Żydów i kilku Ukraińców) witało chlebem i solą – przy ustawionej naprędce w nocy powitalnej bramie – wjeżdżającego osobowym samochodem sowieckiego generała Iwanowa i jego zastępcę politruka Mischzenkę.

23 września miejscowi Ukraińcy wyłonili spośród siebie 29-osobową delegację, która udała się do gen. Iwanowa z zapytaniem, jak Ukraińcy będą traktowani w obecnej sytuacji politycznej. Na czele delegacji stanął dr Konstanty Lewicki. Generał przyjął Ukraińców serdecznie. Oświadczył, iż wojska sowieckie przyniosły narodom Zachodniej Ukrainy wolność i swobodę zrzeszania się i reformę rolną. A o tym, co było za Polski, należy zapomnieć. Muszą jedynie być lojalni wobec nowych władz.

Powiatowym komisarzem został w tym samym dniu Moskal – Tymoszczuk, który powołał administrację miejską. Z-cą komisarza został miejscowy Ukrainiec, aplikant adwokacki o socjalistycznych zapatrywaniach. Pozostałe stanowiska również zostały obsadzone przez sympatyzujących z Sowietami Ukraińców. Redaktorem miejscowej gazety został komunista z "Welykoji Ukrainy".

26 września NKWD rozpoczęło pierwsze aresztowania członków delegacji Ukraińców, która była u gen. Iwanowa. Aresztowano również Polaków – prokuratora S. Szafrana, sędziego Z. Osochowskiego oraz wielu innych.

Ogłoszono, że 27 września rozpoczną się w szkołach zajęcia. Obowiązkowym językiem nauczania stał się język ukraiński. Dyrektorem szkoły średniej i inspektorem szkolnym zostali Ukraińcy. Dla mniejszości żydowskiej utworzono nową, odrębną szkołę.

W ostatnich dniach września stanowisko burmistrza Brzeżan objął człowiek bez wykształcenia – Żyd, komunista Kunie GRAD, który w okresie przedwojennym skazany był na więzienie w Rawiczu i na Berezę, a po 1945 roku nazywał się Karol Gradowski. Jego zastępcą został Ukrainiec adw. W. Bemko, którego syn Łewko, już po maturze w 1938 r. wstąpił do oficerskiej szkoły Luftwaffe. Inne stanowiska zajęli również Żydzi i Ukraińcy.

Władze sowieckie w tym czasie zachowywały się względem miejscowej ludności dość poprawnie. lecz przystąpiono do jej upolityczniania. Urządzano otwarte zebrania (mityngi), w których uczestnictwo było niby dobrowolne, ale każdy musiał być na tych politycznych nasiadówkach. W wystąpieniach szkalowano na nich Polskę, naród polski, Kościół i dawną władzę. Etatowymi lektorami tej partyjnej gadaniny byli Ukraińcy i wielu brzeżańskich Żydów, wśród których czołową postacią był Markus Raizer. Prelegenci obowiązkowo mówili po ukraińsku, a gotowy tekst otrzymywali z komitetu partii. Polacy udziału w tym nie brali.

Bywały w tych wystąpieniach także elementy humorystyczne. *Dawniej...* – mówił np.. z ogromnym zapalem prelegent Raizner – *tu była straszna bieda, nie było chleba, nie było pieniędzy i pracy dla biednych tego rejonu. A dziś, towarzysze, każdy ma pracę. Nawet te biedne dziewczęta, które nocami wystawały pod latarniami obok "Sokoła" czy kasyna oficerskiego i one dziś dziękują dobrodziejskiej Czerwonej Armii i Ojcu Stalinowi – za mnogość pracy, jaką mają.* Przemówienie wywołało potężny śmiech na sali.

*Dobrochna Konrad
Danuta Maciejewska
Poznań*

Matka

Nasza Matka - Zofia Pełkowa z domu Lorenz, nauczycielka i żona nauczyciela, por. rez. Stanisława Pełki z obozu w Starobielsku (nr 2632), urodziła się w Rączynie, pow. Przeworsk. Pochodziła z rodziny ceniącej związki z ziemią rodzinną, przyrodą, naturą lecz nade wszystko dbałą o wychowanie, walory umysłu, serca i ducha.

Będąc jedynym pozostałym przy życiu dzieckiem, skupiała na sobie całą miłość, ambicje i oczekiwania rodziców. Po krótkim przygotowaniu w warunkach domowych, jako 10-latka rozpoczęła dalszą edukację we Lwowie pod opieką stryjostwa, u których dominowała płęć męska jej rówieśników. Bowiem rodzina Lorenzów to głównie mężczyźni i młodzi chłopcy, częściowo późniejsze Orleńscy Lwowskie.

Wydarzenia lat 1918-1919 oraz przedwczesna śmierć Staszka – jednego z ukochanych kuzynów, przeżyła nasza Matka w bliskim współdziałaniu z Orleńskimi. Była już wtedy mieszkanką internatu, kończyła Prywatne Seminarium Nauczycielskie Zofii Strzałkowskiej. W owym czasie pensja ta miała renomę najlepszej lwowskiej szkoły średniej dla dziewcząt, kształcącej przyszłe "Siłaczki".

Pani Przełożona, osoba światła i dobrze zorientowana w ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej, oraz grono nauczycielskie skupiające także wykładowców Uniwersytetu Jana Kazimierza, wzbogacali program szkoły (głównie konspiracyjnie) treściami patriotycznymi i uwrażliwiali dziewczęta na dolę społeczności kresowej, a szczególnie dzieci, w dużym procencie zaniedbanych edukacyjnie i ekonomicznie.

Z tamtego okresu życia Mamy pochodzi również modlitwa, będąca naszą rodzinną spuścizną. Znajduje się w ocalonej z kazachstańskiej tułaczki książeczce – modlitewniku, zatytułowanej "Polka przed Bogiem". Przytaczam ją tu w całości, gdyż poza swoją nieprzemijającą aktualnością i pięknem jej treści stanowiła credo i drogowskaz naszej Matki do końca Jej dni.

*Prowadź, mię, Jezu, przez życia drogę,
Bo łatwo zbłądzić lub upaść mogę.
Twojej opieki – pomocy trzeba*

By żyć cnotliwie i dojść do nieba.

Prowadź mię Jezu! Droga daleka,

A obowiązków wiele mię czeka.

Jak siebie – bliźnich miłować muszę,

By służyć Tobie i zbawić duszę.

Prowadź mię, Jezu Wszechmocny Boże!

Twa wola wszystko uczynić może.

W szczęściu, w niedoli, w pracy, zabawie

Myśl mą i serce przed Tobą stawię.

Niech wszystko będzie na cześć Twą i chwałę.

Oddaję Tobie me życie całe –

Niech cicha praca Polskę wspomóż,

Prowadź mię, Jezu, Wiekuisty Boże.

Zaszczepiane przez rodziców od wczesnego dzieciństwa, a rozkwitające w młodości – w warunkach szkolnych i rodzinnych – ideały, owocowały obficie w Jej życiu. Pamiętała zawsze, że **nauczycielem jest się z powołania**, zobowiązanym do stanowienia wzoru, a jeśli zaistnieje potrzeba – to i ofiarności.

Naturalną tego konsekwencją było przyjęcie przez Mamę, zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, posady je7dynej nauczycielki w nieistniejącej wcześniej szkole, w zamajskiej wsi Żrebce. Miała wówczas 19 lat, pracowała z dala od rodziny i bliskich w warunkach, gdy klasą była izba wiejska, a mieszkaniem odstąpiona “panience” wieśniacza alkowa. Nie było ani podręczników, ani pomocy naukowych, ani przyrządów szkolnych.

Epilog tamtych kilku lat nastąpił 15 maja 1987 roku. Na autorskim egzemplarzu publikacji “Polska Teologia Narodu” darowanym Jej na imieniny, prof. dr hab. KUL-u zamieścił następującą dedykację: *Najdroższej Pani Profesor Lorenz-Pełkowej, wraz z całym Jej Domem, a Wielkiej Córce Narodu Polskiego, która tyle wycierpiała dla Ojczyzny – Pierwszej Oświecicielce mojej wsi Żrebce – duchowy potomek ks. Czesław Bartnik.*

Świadectwa w tym stylu, wyróżniające Ją z tła współprofesjonalistów pod względem zaangażowania i wszczepiania wątków patriotycznych, spotykały Ją w życiu często ze strony b. uczniów i ich rodziców.

Na przełomie lat 1940/1950 sama byłem Jej uczennicą i wiem, jak żywe były to lekcje, zwłaszcza dla chłopców stawiających niekończące się pytania. Nigdy nie traktowała ich wymijająco. I każdy Jej uczeń, jeśli tylko chciał, wiedział co znaczą nazwy: Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, Karaganda, Majkain, Zołoto, Tomsk, Archangielsk czy Kazachstan, bo tu

mogła czerpać z własnych przeżyć i informacji, będących sumą doświadczeń z pobytu w Kazachstanie i łagrze Karaganda.

To właśnie w mojej klasie w szkole średniej, zabrakło większości chłopców pewnego wiosennego dnia w początkach lat 50-tych, zabranych nocą przez UB z internatu, ponieważ ich wieczorne rozmowy odbiegały treścią od pożądanych politycznie. Wśród inicjatorów umożliwienia rodzinom kontaktów z aresztowanymi i paczek dla nich nie zabrakło naszej Mamy. Ułatwiała to okoliczność, że prowadziła w tym czasie kursy dla analfabetów – pracowników UB.

“Białe plamy” dotyczące Golgoty Wschodu miały dla Niej wymiar jedynie ilościowy, nigdy jakościowy. Już w 1920 roku zetknęła się na Kresach Wschodnich z obyczajowością i metodami działania bolszewików.

Aż do dziś docierają do nas wiadomości odkrywające nie znane nam dotąd w pełni formy działań i zachowań naszej Matki. Spotkana przypadkowo uczennica z końcowego okresu Jej pracy w szkole opowiedziała mi na przykład, jak to pod pretekstem uprawiania działki kwiatowej wychodziła Mama z klasą do ogródka, zabierając ze sobą przenośne radio, aby wspólnie wysłuchać audycji w warunkach szkolnych niedostępnych. Później umiejętnie nawiązywała do nich na lekcjach.

Ten “sposób bycia” nie przysparzał Jej samych przyjaciół. Ale posiadanie adwersarzy i zagorzałych przeciwników “wkalkulowała” świadomie swoje życie i skutki tego znosiła bez goryczy. Jak w Kazachstanie, walczyła o nasze przetrwanie z godnością.

Pokonując z ogromnym trudem warunki życia na “nieludzkiej ziemi”, walcząc głównie o niezłamanie się, zdobywała się jeszcze na pomoc i wspieranie innych, słabszych, recytowanie z pamięci fragmentów “Pana Tadeusza”, tekstów Norwida, Słowackiego. Uczyła nas czytania na książeczce do nabożeństwa. Wytrwała w postanowieniu, nie przyjęła obywatelstwa radzieckiego, myśląc nie tylko o możliwości powrotu córek do Polski, ale także o konieczności zademonstrowania sprzeciwu jako takiego, choć poskutkowało to dwuletnim pobytem w łagrze.

Podobnie w warunkach wczesnego PRL-u nie ugięła się w przyjętej postawie, mimo zawieszenia Jej w czynnościach nauczyciela, sądów dyscyplinarnych czy złośliwych docinek w stylu: *Co to za przykład dla dzieci, gdy nauczycielka chodzi codziennie rano pokazywać księdzu język* (chodziło oczywiście o przyjmowanie Eucharystii – przyp. red.).

Wydalona w trybie doraźnym ze szkoły za obecność podczas przedlekcyjnej modlitwy uczniów, jeszcze w tym samym dniu znalazła się w grupie kobiet sortujących owoce na podwórzu fabryki przetworów. By nie poddać się zwątpieniu, by okazać protest, by nie dopuścić do niedostatku, by wreszcie wrócić na swoje miejsce bez upokorzenia i porażki.

Wychowując samotnie, bez jakiegokolwiek wsparcia dwie córki, gdyż po powrocie z zsyłki i zawierusze wojennej żadnej rodziny już nie posiadała, umiała zawsze zauważyć jeszcze bardziej potrzebujących pomocy Np. ówczesne “panny z dziećmi”. Dla tych kobiet stało się to ułatwieniem w funkcjonowaniu społecznym w małomiasteczkowym środowisku, jako że postawy nauczycieli miały wówczas znaczenie.

Była czuła na los sierot. Jeszcze przed wojną wychowywała poza własnymi córkami dwójkę osieroconych dzieci.

Motywy wiodącym w życiu rodzinnym była dla naszej Matki potrzeba dochowania **wierności** – wierności tradycji i wierności duchowej jedności z Ojcem swoich córek.

Nawet w najtrudniejszych syberyjskich warunkach, gdy na stole był jedynie zamrożony ziemniak, trochę makucha lub zgoła nic, leżała na nim także garstka siana lub jakieś ziółko symbolizujące palmę, udekorowane kawałkiem owczej włóczki. Intonowała nad tym kolędę albo “Tego dnia Chrystus Zmartwychwstał”... Byle nie poddać się!

Po wojnie, pragnienie zrealizowania wspólnych niegdyś z mężem planów co do przyszłości córek, mogła wypełnić tylko w ograniczonym zakresie. I aczkolwiek sygnały o wojnie powodowały rozmowy przygotowujące Mamę do radzenia sobie gdyby Ojca naszego zabrakło, to jednak oboje nie przypuszczali, że brutalne wyrwanie z ojcowizny na Kresach Wschodnich, tak drastycznie zmodyfikuje te plany wobec dzieci. Niemniej jednak dbałość o edukację i samodzielność córek była dla Matki sprawą pierwszoplanową, bo tak przyjmowała testament po mężu. Na indagacje otoczenia o ułożenie sobie życia po wojnie, odpowiadała z rozbijającym uśmiechem: *Ja życie mam już ułożone, przecież mam jego dzieci.*

Jak najlepsze przybliżenie córkom postaci Ojca, wypełnienie ich tęsknoty za nim konkretnymi treściami z jego życia oraz ich wspólnych przeżyć, były Jej codziennością. Chociaż były sytuacje, w których mówienie o Ojcu nie przychodziło Jej łatwo. Dlatego w okolicy świąt i rocznic w Jej dzielność wplatała się posępność, nierzadko rozdrażnienie, ale łzy wyciskać mogło tylko wspólne wypowiedane “Wieczne odpoczywanie”...

Nasza Matka miała specyficzny rodzaj godzenia się z tą śmiercią. Był to rodzaj dumy i przekonania, że identyfikacja z polskością, wierność Bogu i Ojczyźnie nie mogły w tamtych warunkach skończyć się inaczej. *Tacy byliśmy oboje, to jest nasz wspólny los* – zdawała się mówić – przyjmując bez sprzeciwu rolę ojca i matki w naszym życiu. Utrata dóbr materialnych to także cena, która przyszło zapłacić nam za to, kim byliśmy. Matka była jednak wolna od rozgoryczenia.

Bywało, że uciekała się do autorytetu Ojca lub oczekiwała w Nim umocnienia. Wtedy mówiła: *Gdyby teraz był tu Tatuś...* co znaczyło – Cóрко! Czas na posłuszeństwo!

Życiem cieszyła się dość długo, przeżyła prawie 88 lat. Cieszyła się, choć Jej nie oszczędzało. Umiała je cenić, nie wymagając dla siebie wiele. Z równym entuzjazmem chło-

nęła wiedzę, stale doskonalać się (ukończyła studia historyczne grubo po wojnie) jak uroki przyrody, pracę i zabawę. Zawsze był chętna do wycieczek, nawet już przykuta do wózka inwalidzkiego. Przy tym żadnej skargi, nigdy chęci odwetu czy zazdrości.

Jej hart ducha przerastał zdecydowanie siły fizyczne, co budziło podziw, ale przysparzało nie tylko przyjaciół. Na emeryturę odchodziła z niezapisaną książeczką ubezpieczeniową w rubryce "czasowa niezdolność", mimo zsyłki, łagru i chorób zawodowych.

Nad Jej trumną kapłan powiedział: ...*Była osobą, dla której zaufanie Bogu było priorytetem*. Tak było istotnie – Bóg, Ojczyzna, rodzina to hierarchia wartości naszej Matki. Swoje odznaczenia przeznaczyła przed śmiercią na vota. A decydując o tym, miała wzrok utkwiony w portret ślubny, będąc pewną aprobaty swego męża.

Niestety, nie doczekała wolności Kraju. Odeszła w marcu, przed radosnym dniem czerwca 1989 roku. Żał, że nie było Jej dane także spotkanie Rodzin Katyńskich z Ojcem Świętym. Ale... odkryłyśmy niedawno z siostrą, że na dom w Dębnie Lubuskim, w którym mieszkaliśmy po powrocie z Kazachstanu i gdzie do lat 70-tych przebiegała powojenna działalność Mamy, widnieje tabliczka z napisem: *Ulica Ofiar Katynia*.

Oby nie zmarnowanych...

Kazimierz Straszewski

Warszawa

Repatriacja ludności polskiej z Ukrainy Zachodniej w latach 1944 – 1948

Repatriacja ludności jest przypadkiem osobliwym, nie tylko dla dziejów narodu, ale i w historii powszechnej. Nie wystarczą tutaj dla celów porównawczych dziewiętnastowieczne ustalenia i wzory o ruchach migracyjnych. Chodzi o zjawisko, które od przyjętej na początku urzędowej czy oficjalnej nazwy określa się w publicystyce i w języku obiegowym mianem repatriacji; w pierwotnym znaczeniu repatriacja to tyle, co "powrót do ojczyzny". Może wydawać się to dziwne i na pewno wydawało się takim na początku. Dziś nikt się nad tym nie zastanawia i nikomu nie przyjdzie do głowy kwestionować zasadność nazwy⁵.

Dla setek tysięcy ludzi, którzy mieli "powracać do ojczyzny", decyzja o wyjeździe na zawsze z ziemi uważanej od pokoleń za ojczystą, była decyzją trudną, bolesną, niekiedy – rozpacz-

liwą. Docelowy kraj osiedlenia był wtedy, jak w każdej zbiorowej emigracji, wielką niewiadomą; przedstawiał się w konturach niewyraźnych, jak wszystko co niepewne, budził tyleż lęku, co nadziei. By proces stał się rzeczywistym powrotem do ojczyzny, trzeba było wyrobić przekonanie, że ojczyzna zmieniła swój kształt i wymiar przestrzenny, a takie przekonanie nie mogło stać się rzeczywistością za sprawą samej propagandy wspartej nawet decyzjami politycznymi najwyższej wagi, wspieranymi przez całą światową opinię publiczną. Prawda wyrażona w prostym zdaniu: "Tu jest Polska", czy mogła być przyjęta bez zastrzeżeń przez ludzi opuszczających ziemię zamieszkałą od pokoleń?

Repatriacja - powiedzmy sobie otwarcie - podlega tym samym regułom osiedlenia, jakie potrzebne są każdej emigracji. Wędrowali wtedy Polacy na zachód, nie zdając sobie sprawy, że tworzą historię. Nie mogli przecież wiedzieć, a co najmniej byli dalecy od tej pewności, jaką dziś wolno nam manifestować, ilekroć mówimy o naszych granicach na zachodzie i o integracji narodowej na całym obszarze Rzeczypospolitej. Od nich wszelako zależało, że dziś wolno nam pewność taką wyrażać.

Do niewątpliwie ważnych problemów w dziejach najnowszych narodu polskiego zaliczyć należy migracje ludności polskiej w latach 1944-1948, a zwłaszcza jej przemieszczenia z terenów wschodnich, na dawne ziemie piastowskie nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtykiem, przyłączone do Polski w wyniku zasadniczej zmiany granic państwa polskiego. Wiązało się to bezpośrednio z generalnymi zmianami społecznymi i ustrojowymi, jakie dokonały się na ziemiach polskich po wyzwoleniu przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie, zwycięstwie koalicji nad faszyzmem niemieckim. Repatriacja Polaków z ZSRR odegrała istotną rolę w zagospodarowaniu Ziemi Odzyskanych oraz w podniesieniu potencjału gospodarczego Polski. Miała zapewnić całej polskiej ludności, stanowiącej nie wiele więcej niż 1/3 ludności na dawnych wschodnich terenach państwa polskiego, możliwość życia i działania we własnym państwie narodowym.

W czasie drugiej wojny światowej międzypaństwowe przemieszczenia ludności były realizowane przez III Rzeszę i jej satelitów; były realizowane w starannie przygotowanej akcji w 1940 r. "Zurück nach Reich" i objęły Niemców z Galicji, Bukowiny, Besarabii, Wołynia, Łotwy, Estonii. W wyniku realizacji tego transferu III Rzesza przesiedliła prawie jeden milion osób zaliczonych do niemieckiej mniejszości narodowej, większość z nich osiedlając na ziemiach okupowanej Polski, wcześniej wysiedlając z niej 1 200 000 Polaków do Generalnej Guberni.

Repatriacja ludności polskiej z Ukrainy Zachodniej, Białorusi Zachodniej, Litwy Południowej i pozostałych terenów ZSRR objęła: obywateli Polski sprzed 1 września 1939 r., zamieszkałych na zachodnich terenach wspomnianych republik oraz tych, których losy wojny rzuciły na inne tereny ZSRR, osoby pochodzące z Polski, które przez służbę w Armii Polskiej w ZSRR lub w inny sposób przyczyniły

⁵ W przekonaniu "repatriowanych" było to wygnanie, w najlepszym przypadku wysiedlenie. Takie jest także stanowisko Redakcji. (Przyp. Red.).

się do wyzwolenia Polski spod okupacji hitlerowskiej, uciekinierów przed niemiecką eksterminacją z zachodniej i centralnej Polski oraz migrantów zarobkowych z krajów nadbałtyckich. Rozpoczęła się ona najwcześniej z terytorium zachodnich republik radzieckich, a następnie objęła pozostałe tereny ZSRR.

Repatriację ludności polskiej z ZSRR zapoczątkowały umowy lubelskie PKWN z rządami: Ukrainy, Białorusi i Litwy. W lipcu 1945 r. podpisana została także umowa pomiędzy Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej, a rządem ZSRR w sprawie repatriacji ludności polskiej z pozostałych terenów ZSRR.

Umowy repatriacyjne przewidywały dobrowolną, za zgodą układających się stron, repatriację do Polski osób narodowości polskiej i żydowskiej, które wyraziły na nią chęć w ustnej lub pisemnej deklaracji oraz przemieszczenie do ZSRR ludności ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej zamieszkującej na terenie Polski. Repatriantom zapewniono odszkodowanie za pozostawioną ziemię i nieruchomości do wysokości przewidzianej przez ustawodawstwo każdej ze stron⁶.

Do realizacji repatriacji ludności polskiej z ZSRR zostali powołani pełnomocnicy główni, w Łucku dla USRR, w Baranowiczach dla BSRR i w Wilnie dla LSRR oraz Główna Komisja Mieszana Polsko-Radziecka do Spraw Repatriacji w Moskwie dla pozostałych terenów ZSRR.

Rejonowe urzędy repatriacyjne zostały wyznaczone dla USRR w Kowlu, Włodzimierzu, Rawie Ruskiej, Lwowie, Samborze, Drohobyczu, Stryju, Chodorowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Czortkowie i Kamionce Strumiłowej.

Repatrianci mogli zabrać do kraju mienie ruchome o ciężarze do 2 ton na rodzinę, a osoby specjalnych zawodów, dodatkowe przedmioty niezbędne do wykonywania zawodu⁷. Umowy repatriacyjne przewidywały też opis i oszacowanie mienia nieruchomego repatriantów ze wsi i z miasta - zagród wiejskich, budynków miejskich wraz z urządzeniami gospodarczymi, które dokonywały komisje szacunkowe.

Ustalono także punkty graniczne przez które repatrianci mieli być kierowani do Polski. Transporty kolejowe z USRR przejeżdżały granicę polsko-ukraińską w miejscowościach: Mała Włodawa, Byczkowe, Przewóz, Uściług, Sokal, Rawa Ruska i Medyka.

Repatriacji podlegali Polacy i Żydzi, którzy 17 września 1939 r. posiadali obywatelstwo polskie i zgłosili akces do powrotu w ustnej lub pisemnej deklaracji. Prawo jednak wyjazdu do Polski, a nie obowiązek, wyznaczała obligatoryjność wynikająca z ducha zawartych umów oraz przymusu sytuacyjnego.

Mimo stanowiska strony polskiej nalegającej na przedłużenie repatriacji (a możliwość taką przewidziano), terminy repatriacji były bardzo krótkie, ustalono bowiem, że rejestracja zostanie przeprowadzona od 1 października do 31 grudnia 1945 r., a przesiedlenie od 1 grudnia 1944 do 1 kwietnia

⁶ Do roku 2004 około 100.000 "repatriowanych" nie otrzymało żadnego ekwiwalentu. (Przyp. Red.).

⁷ Teoretycznie mogli zabrać. W praktyce bywało tak rzadko. Wystarczy zapoznać się ze wspomnieniami "repatriowanych". Istnieją też relacje, że w znacznie korzystniejszych warunkach pod tym względem wysiedlani byli Polacy z Litwy i Białorusi. (Przyp. Red.).

1945 r. Podpisane we wrześniu 1945 r. umowy repatriacyjne nie objęły Polaków znajdujących się na pozostałych terenach ZSRR.

W 1944 r. w związku z toczoną wojną, zniszczeniami wojennymi, a zwłaszcza trudnościami komunikacyjnymi nie było warunków do szerszej repatriacji ludności. Nic więc dziwnego, że poza ukształtowaniem aparatu wykonawczego w postaci placówek PUR i powołaniem rejonowych i okręgowych (republikańskich) pełnomocników rządu do spraw repatriacji ludności polskiej, niewiele wówczas można było zrobić.

Na ziemiach wyzwolonych w 1944 r. można było osiedlić, z dużymi trudnościami, tylko tych, którzy musieli wyjechać, zagrożeni bezpośrednio przez terror nacjonalistów ukraińskich. Nierealne wyobrażenie o rozmiarach i przebiegu transferu PKWN i rządów zainteresowanych republik, oparte na przesłankach, że liczba ludności polskiej na dawnych kresach wschodnich jest niska, a jej znaczna część pozostanie w ZSRR, wyznaczały między innymi krótkie terminy repatriacji i dopuszczenie transferu w obrębie Polski lubelskiej. Działanie wydawało się być proste; Polacy osiadą na gospodarstwach i zajmą mieszkania po Ukraińcach, Białorusinach i Litwinach.

Niezależnie jednak od rozmiarów i zakresu transferu realizacja jego w terminach, które określały umowy była niemożliwa. Dopiero 13 lutego 1945 r. Rada Ministrów RP podjęła uchwałę o masowej repatriacji. Ale i ona wskutek trudności, których sam PUR nie mógł pokonać, a później zobowiązane do pomocy inne resorty, nie od razu została zrealizowana. Głównym zadaniem PUR, w tym czasie było zbudowanie aparatu, który mógłby przybywającym zapewnić opiekę oraz podjąć planowe ich osiedlenie w kraju. Dlatego jeszcze w 1944 r. zorganizował on 9 punktów etapowych. W 1945 r. liczba punktów etapowych wzrosła do 40, w marcu - kwietniu przystąpiono do tworzenia ich na Ziemiach Zachodnich a po upływie trzech miesięcy PUR miał już 250 punktów etapowych na 140 000 osób.

Największe trudności dla repatriacji stanowił transport. Oczywiście sytuację pogarszał nieodłączny element powojennych warunków, tj. dezorganizacja. *Zdarzało się*, że transporty jeździły tygodniami po kraju, były dzielone przy przeładunku lub nie rozładowywano ich zaraz po przybyciu. Na przykład we wrześniu 1945 r. w województwie katowickim ludzie oczekujący na osiedlenie koczowali po trzy tygodnie pod gołym niebem. Szczególnie trudna sytuacja wytworzyła się zimą 1945 r., kiedy to zjawisko osiągnęło groźne rozmiary w województwie krakowskim i katowickim. Transport nie *zależał* też tylko od materialnych i organizacyjnych możliwości Polski, strona radziecka miała poważne trudności transportowe. Oczywiście repatriacja ze wschodu, podobnie jak z zachodu, odbywała się pod szczególnym naciskiem czasu i musiała być przeprowadzona szybko i w szerokich rozmiarach. Łączyła się ona z procesem osiedlania Polaków na Ziemiach Odzyskanych. Szybkie osiedlanie ludności miało istotny wpływ na trwałość nowych zachodnich granic, tworzyło fakty dokonane, których nikt nie mógł przekreślić.

Wyjazd Polaków z Wołynia i Podola już w 1944 r., tj. wtedy, gdy toczyła się jeszcze wojna, oznaczał zgodę na graniczne status quo, był tworzeniem faktów dokonanych, które miały przesądzić o nieodwracalności zmiany granic w wyniku drugiej wojny światowej. Pozostanie było wyrazem walki o polskość kresów wschodnich, Wyjazd oznaczał rezygnację z ziem wschodnich. Wyłom w takich postawach uczyniła konferencja jałtańska tworząc sytuację, w której konieczność wyboru stawała się coraz bardziej oczywista.

Wyjazd ludności polskiej z Ukrainy Zachodniej kształtował się w sytuacji szczególnej. Tutaj stan napięcia wytworzony między ludnością polską a ukraińską w okresie okupacji niemieckiej spowodował, że transfer ludności przebiegał w zupełnie innych warunkach. Jeszcze przed zorganizowanym działaniem repatriacyjnym wyjechało około 100 000 osób, zagrożonych terrorem nacjonalistów ukraińskich, którym władza radziecka nie od razu mogła położyć kres.

Władze ukraińskie do sprawy wyjazdu Polaków podeszły ze zrozumieniem. Oczywiście zdarzały się odstępstwa, w niektórych rejonach utrudniano repatriację, starano się powstrzymać ludzi od wyjazdu, były to jednak raczej zjawiska sporadyczne. Do 1 stycznia 1945 r. zgłosiło chęć wyjazdu 135 700 osób, w ciągu następnych trzech miesięcy dalsze 220 000. Do końca maja liczba zarejestrowanych sięgnęła 600 000, a do zakończenia przyjmowania zapisów ostatecznie wyniosła 816 870 osób.

Repatriacja Polaków z Ukrainy rozpoczęła się najwcześniej, bo już w 1944 r. i trwała do końca 1946 r. Licząc żywiołowy odpływ oraz zorganizowane transporty, objęła ona łącznie 787 700 osób, tj. 96% zarejestrowanych, a 92% uprawnionych do wyjazdu.

Po zakończeniu repatriacji i podpisaniu protokółów likwidacyjnych, pozostało jeszcze około 680 000 "Polaków zabużańskich", z tego ponad 5000 stanowili mieszkańcy Ukrainy, 250 000 Białorusi i 300 000 Litwy. Opierając się na szacunkowych wyliczeniach ludności polskiej i żydowskiej, która w 1944 r. znajdowała się na terenach objętych repatriacją, należy stwierdzić, że przesiedliło się około 65% tej ludności.

Jednakże repatriacja toczyła się w szczególnie niekorzystnych warunkach prowadzonej wojny i dotkliwych zniszczeń wojennych. Nic więc dziwnego, że nie wszyscy decydowali się na wyjazd do Polski. Wielu miało ustabilizowaną już sytuację, dom w mieście lub kawałek ziemi na wsi. Ważną rolę odgrywała też zasiedziałość, patriotyzm lokalny, przywiązanie do miejsca zamieszkania, więzi rodzinne i sąsiedzkie. Ci, którzy pozostali, mogli wrócić do kraju w następnej repatriacji, tj. w 1957 r.

W latach 1944-1948 przybyło z ZSRR do Polski 1 517 987 repatriantów, a więc około 60% ludności polskiej objętej umowami repatriacyjnymi. Największa ich liczba przypadała na lata 1945-1946 i wyniosła 1 382 645 osób, stanowiło 91% ogółu repatriowanych. W 1945 r. wróciło do Polski 49% ogółu repatriantów, tj. 742 631 osób.

Repatrianci przywieźli ze sobą do kraju 296 035 sztuk zwierząt domowych, w tym 71 213 koni - 24% i 139 272 krowy - 47%, 39 981 świń - 15% i 50 589 owiec - 17% ogółu zwierząt domowych.

W latach 1944-1948 przyjechały z Ukrainy Zachodniej 787 674 osoby, a więc 49% ogółu repatriowanej ludności polskiej z ZSRR. Do przewozu 752 274 repatriantów użyto 33 943 wagonów osobowych i 14 583 wagonów towarowych⁸. Własnymi środkami lokomocji przyjechało do Polski 35399 repatriantów, tj. 4.49% ogółu ludności polskiej repatriowanej z USRR.

Należy podkreślić fakt, że na 117 212 repatriantów, którzy wrócili z USRR do kraju w 1944 r., w listopadzie repatriowało się 67 001 osób, a w grudniu 50 211, tj. odpowiednio 57% i 43% ogółu repatriowanych z USRR; dotyczyło to rejonów: Łuck, Równe, Włodzimierz, Lwów i Rawa Ruska. W styczniu 1945 r. przybyło z rejonów repatriacyjnych w Kamionce Strumiłowej, Równem, Włodzimierzu i Stanisławowie - 21 765 osób; a w lutym z Włodzimierza, Tarnopola, Stryja, Lwowa, Kamionki Strumiłowej - 11 951 osób. W marcu 1945 r. 14 629 osób repatriowało się z Tarnopola i Łucka, a 22 997 osób w kwietniu z Brodów, Łucka, Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola i Złoczowa.

Natomiast w maju 1945 r. z Czortkowa, Łucka, Stanisławowa i Tarnopola notowano 41 667 repatriantów, tj. 71% ogółu repatriowanych, a w czerwcu z Czortkowa, Lwowa i Złoczowa - 30 867, a więc 53% ogółu repatriowanych w tym miesiącu. Jednakże w lipcu repatrianci z rejonu Czortkowa stanowili 24 251 osób, 66% ogółu repatriowanych, a w sierpniu 16 222 osób, czyli 44% ogółu repatriowanych w podanym czasie. Rejon Czortkowa liczbą 104 992 repatriowanych uplasował się na drugim miejscu po Lwowie - 124 743 osób (tab. 1). W 1945 r. przyjechało do kraju 420 824 repatriantów, tj. 68% ogółu repatriowanych.

Warto podkreślić, że z Ukrainy Zachodniej repatriowało się 237 093 chłopów (38%), 100 701 robotników (16%), 62 658 rzemieślników (10%). 172 322 pracowników umysłowych (28%), 2 611 nauczycieli (0,4%) i 4 415 pracowników służby zdrowia (0,7).

Repatrianci z USRR przywieźli ze sobą: 45 658 koni, 93 147 krów, 15 136 świń, 29 190 owiec oraz sprzęt rolniczy m. in. 28 136 wozów.

Warto również zwrócić uwagę na polską ludność wiejską i miejską repatriowaną z Ukrainy Zachodniej, To w okresie od 1944 do 1948 r. przyjechało 458 766 osób mieszkających przed repatriacją na wsi i 328 908 osób mieszkających w mieście, tj. 58% i 42% ogółu repatriowanej ludności polskiej z USRR, Na podstawie danych o wieku repatriantów z Ukrainy Zachodniej, możemy stwierdzić, że 55% (432035) osób było w wieku od 30 do 55 lat.

Przedstawiony proces repatriacji polskiej ludności z ZSRR był jedną z najważniejszych części ogólnonarodowego zadania, które zrealizowała Polska w latach 1944 -1948.

Tablica 1

Repatriacja ludności polskiej z USRR w latach 1944-1948 według rejonów województwa tarnopolskiego

⁸ Zdecydowana większość podróżowała wagonami towarowymi, a nawet odkrytymi lorami. Wagony osobowe były chyba ewenementem. (Przyp. Red.).

Rejon repatriacji	Repatriacja					
	ogółem	1944	1945	1946	1947	1948
Brody	10 844	3 774	7 070	-	-	-
Czortków	104 992	1 890	71 049	32 029	11	13
Kamionka Str.	17 893	4 255	13 638	-	-	-
Tarnopol	83 023	5 350	74 168	3 478	14	13
Złoczów	18 937	1 380	15 423	2 134	-	-
Razem	235 689	16 649	181 348	37 641	25	26

Bibliografia:

CZARNAKIEWICZ Jan. 1987, Repatriacja ludności polskiej z ZSRR – 1944 - 1948. PWN, Warszawa.

DARMSTADT Thomas & WIEGRAFE Klaus. 2002, Eine teuflische Lösung.

Der Spiegel Nr. 15 RFN

WIEGRAFE Klaus. 2002, Vater, erschiess mich! *Der Spiegel* nr 13 RFN

Antoni Gołębiowski

Warszawa

Akt barbarzyństwa w Podwołoczyskach

czyli jak burzono kościoły na Podolu

Podolanie, odwiedzający od lat ziemię, z której zostali przed półwieczem wygnani, z trudem oswoili się z nieobecnością kościołów w dzisiejszym krajobrazie większości miast i wsi. W swej pamięci zachowali bowiem na zawsze strzeliste wieże, przeważnie neogotyckich budowli, tak charakterystycznych dla panoramy Podola. Upiększały tę panoramę, sąsiadując zgodnie z domami bożymi innych wyznań, równie pięknymi architektonicznie cerkwiami, budowanymi w stylu weneckim oraz synagogami.

Kościoły, pozostawione przez wiernych wypędzonych za San, w niewielkim już tylko stopniu służyły Polakom, którzy postanowili pozostać na ojcowiznie i tu umrzeć. I choć kościoły te w większości traciły stopniowo swój sakralny charakter – to jednak wciąż były zabytkami architektury o wyraźnie polskim charakterze, a dla władców tych ziem były solą w oku i nie mieściły się, a właściwie utrudniały wręcz realizację programu ateizacji i zacierania śladów polskości.

Nadeszły lata sześćdziesiąte ubiegłego już XX wieku. Po Chruszczowskiej odwilży u władzy stanął triumwirat: Breżniew, Kosygin i Podgorny, ale w roku 1965 na uroczystej akademii z okazji 20 rocznicy zwycięstwa nad Niemcami, kiedy Breżniew podnosi zasługi Stalina – sala kwituje je burzliwymi oklaskami na stojąco.

Zbliżała się 50 rocznica “przewrotu październikowego”⁹. Rząd sowiecki rzucił po raz pierwszy miliardy rubli na budownictwo socjalne i poprawę warunków życiowych społeczeństwa. Równocześnie jednak obowiązywała dyrektywa nakazująca niszczenie “symboli przeszłości”. A były nimi przecież kościoły. Jednym z nich był kościół św. Zofii w Podwołoczyskach, nadgranicznym miasteczku na Ziemi Skałackiej, które od marca 1959 roku jest siedzibą rejonu.

Władze miejskie podjęły decyzję o zburzeniu kościoła i zbudowaniu na tym miejscu “ogniska kultury” – typowego rejonowego domu kultury. Na nic się zdały prośby i błagania Polaków, kierowane do władz na różnych szczeblach. Nie pomogło też pismo skierowane do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Bolszewicy byli nieugięci w swym postanowieniu.

Saperzy wywiercili więc w murach świątyni otwory i założyli ładunki wybuchowe. Do wnętrza kościoła wpuszczono miejscowe męty społeczne i chuliganerię, a młodzieży szkolnej polecono przenieść ławki z kościoła do szkoły.

Urządzono najdzikszą grabież tego, co się w kościele znajdowało. Rozbito skrzynie, w których przechowywane były ofiary pieniężne, zgromadzone jeszcze w latach trzydziestych, a więc monety miedziane, niklowe i srebrne.

Zniszczono przepiękne organy, których cudowne dźwięki – jak wspominają dawni mieszkańcy – niosły się kiedyś hen daleko, do Zbrucza. Pojedynkowano się piszczalkami wyrwanymi z organów, rozbijano okna i witraże, niszczone rzeźby, figury, obrazy i chorągwie.

Były to istne satanistyczne bachanalia – wspominają naoczni świadkowie, a przedstawiciele miejscowych władz, burząc tę piękną świątynię twierdzili, że jest to bezwartościowy neogotyck. Z tej niszczycielskiej akcji ocalał tylko jeden obraz Matki Bożej z głównego ołtarza, uratowany i przechowywany na strychu przez panią Rozalię Rosowską. Dziś znajduje się on w kościele rzymsko-katolickim, który mieści się w budynku dawnego Domu Polskiego w Zаднієшівцє, obecnie włączonej do Podwołoczysk. Tam też znalazły się niektóre elementy zdobnicze zburzonego kościoła, a kute wrota kościelne znajdują się obecnie przy wejściu na stadion sportowy.

W momencie wybuchu bryła kościoła uniosła się i opadła w kłębach pyłu. Kiedy pył opadł wszyscy uklękli, a ich oczom ukazały się osiadłe na gruzowisku dwie iglice z krzyżami,

⁹ Tak określa Rewolucję Październikową Jurij Mokrij, autor szkicu historycznego “Pidwołoczysk – korotkyj ilustrowany istorycznyj narys”, wyd. 2001 r., na podstawie którego opracowano powyższy tekst i skąd wykorzystano zdjęcia.

niczmy ręce wyciągnięte do nieba i wołające o pomstę, a może raczej o przebaczenie dla tych, którzy nie wiedzieli co uczynili.

Znani są inicjatorzy, mocodawcy i wykonawcy tego barbarzyńskiego dzieła, ale od dawna są już na sądzie Bożym, a przy budowaniu domu kultury na miejscu zburzonego kościoła połała się krew: zginął robotnik.

Miejscowe władze "w trosce o zaspokojenie potrzeb ludu pracującego" zezwoliły zabierać cegły na własne potrzeby. Znaleźli się też tacy, którzy z tej cegły zbudowali chlewy i w nich dziś jeszcze doglądają swojego inwentarza.

Ten sam tragiczny los spotkał również piękny kościół pw. św. Anny w Skałacie, kościół parafialny w Tarnopolu, prawdopodobnie przy zastosowaniu tej samej techniki burzycielskiej, a może i z takim samym "ceremonialem" jak w Podwołoczyskach. Trudno to sprawdzić bo świadków tego barbarzyństwa jest coraz mniej, a i tych, jeszcze żyjących, dotknęła dziwna amnezja, gdyż nie można ustalić dokładnych dat tych smutnych wydarzeń.

Warto przeczytać

Ukazał się kolejny, szósty już Zeszyt Specjalny "Głosów Podolan". który zatytułowaliśmy

WYSIEDLENIE ZWANE REPATRIACJĄ

Na jego treść złożyły się wspomnienia Podolan, wygnanych z Ojczyzny w latach 1944-1946. Rozproszeni po Polsce i świecie odpowiedzieli oni na nasz apel (GP 54), stając się w ten sposób współautorami pracy, która ma wartość dokumentu.

Przedstawione są w niej wspomnienia Podolan nie tylko tych wypędzonych z ich domów, zagród i ziemi ojców na zachód, za San ("Za San Lasze, bo to nasze"). Są też wspomnienia tych których najpierw wygnano na nieludzką ziemię w pamiętnych trzech wywózkach 1940 roku, a którym udało się przeżyć i po sześcioletniej gehennie wrócić do Polski, pokonując po raz drugi, liczący kilka tysięcy kilometrów, szlak polskich zesańców.

Każdy rozdział, każde wspomnienie jest całością dla siebie. Jest, opowiedzianą w ogromnym skrócie, historią polskiej rodziny, w większym lub mniejszym stopniu sponiewieranej przez wojnę, jest opowieścią o trudach i niekiedy dramatyzmie ekspatriacji i wreszcie o uczuciu ulgi, bezpieczeństwa i spokoju po znalezieniu swojego miejsca na tej ziemi. A miej-

sce to trzeba było najczęściej uprzątnąć, oczyścić i najskromniej choćby zagospodarować, aby “zaczęło się normalne powojenne, biedne życie. I nic już nie było tak jak dawniej” – jak zakończyła swoje wspomnienie Skołatczanka p. Romualda Grad.

Należy żałować, że w tej zbiorowej pracy zbyt mało jest dokumentacji fotograficznej. Ale bo też komu w tych trudnych, ciężkich czasach w głowie było fotografowanie. A może jednak znajdują się dokumentaliści, którzy w swych domowych archiwach zachowali zdjęcia z tamtych dni.

Redakcja “Głosów Podolan” przekazując Czytelnikom tę kolejną pozycję wydawniczą wyraża nadzieję, że zachęci Ich do współpracy nad drugą częścią wspomnień.

Zeszyt Specjalny nr 6 “Wysiedlenie zwane repatriacją” wysyłamy pocztą w cenie 14 zł (wraz z kosztami przesyłki). Wpłaty prosimy dokonywać na nasze konto bankowe, podane na odwrocie okładki.

* * *

Pod koniec maja br. ukaże się książka naszego klubowego Kolegi, p. Tadeusza Husaka pt. **PODOLE – MŁODOŚĆ I NOSTALGIA**.

W wymienionej publikacji Autor zwraca uwagę na walory krajobrazu podolskiego, urzekającego i niepowtarzalnego, ilustrującego poprzez resztki swoich zamków, murów, baszt obronnych, świątyń – naszą historię, naszą tam obecność od pokoleń – twórczą i ubogającą tę ziemię.

Zamówienia na książkę prosimy kierować na adres redakcji “Głosów Podolan”.

* * *

Ukazała się kolejna książka – trzecia z serii “Nasz kresowy dom” – **ZBORÓW I ZIEMIA ZBOROWSKA**.

Obejmuje ona centralne i północne regiony Podola, należące do 1939 r. do powiatu zborowskiego.

Książka ukazuje piękne krajobrazy pomiędzy rzekami Seretem, Strypą i Żółtą Lipą. Przypomina wiele nieznanych faktów i zdarzeń historycznych prezentuje sylwetki wybitnych Zborowian. Odrębny rozdział książki przedstawia propozycję kilku tras turystycznych po Tarnopolszczyźnie. Miasta Tarnopol, Zborów, Złoczów są dogodnymi punktami do wypadów

krajoznawczych szlakami zamków królewskiego rodu Sobieskich, hetmańskich stanic kresowych i innych.

Książka o objętości 200 str. druku, pięknie ilustrowana starymi i współczesnymi fotografiami, zawiera dwie mapy: dawnego powiatu i aktualną mapę samochodową. Cena 20 zł. Zamawiać ją można u autora: Antoni Worobiec ul. Zyty 6/2, 65-046 Zielona Góra, tel. (068) 327 21 43.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. dr Stanisław AKIELASZEK

zmarł w Nowym Jorku 9 kwietnia 2004 r., przeżywszy 87 lat.

Inicjator i organizator szeregu zbiorów w Ameryce na budowę i wyposażenie kościoła rzym.-kat. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy na Zboiskach we Lwowie.

Urodzony w Stanach Zjednoczonych z rodziców emigrantów, którzy wrócili do Polski i osiedlili się na Łyczakowie, uczęszczał we Lwowie do Szkoły Powszechnej im. św. Antoniego, a następnie do Gimnazjum Klasycznego im. S. Staszica i działał aktywnie w Harcerstwie. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza studiował filologię klasyczną.

Po wybuchu wojny wrócił do Stanów, uczestniczył w nieudanej próbie gen. Ducha zorganizowania Armii Polskiej w Kanadzie, następnie służył w lotnictwie amerykańskim.

Po wojnie był profesorem filologii klasycznej Uniwersytetu Fordham w Nowym Jorku, później Uniwersytetu St. John's w tymże mieście. Wykładał tam także historię starożytną i piastował urząd dziekana wydziału.

Organizował ponadto apele o pomoc dla Radia Polskiego we Lwowie i szczerze łożył na inne cele charytatywne.

Jego Małżonka, córka prof. UJK Zdzisława Próchnickiego, autora Konstytucji Marcowej RP z 1921 r. zmarła kilka miesięcy przed Nim. Siostra Janina brała podczas wojny czynny udział w konspiracji narodowej (NOW). Po wojnie była torturowana w więzieniu UB i zmarła wkrótce po wyjściu na wolność.

Zmarły pozostawił w smutku syna Jana, dwie córki – Krystynę Fanelli i Annę Ross oraz pięcioro wnuków.

Jan Wawrzków
Montreal – Kanada

WWSPOMNIENIA O ZMARŁYCH PODOLANACH

Śp. Jan RANICZKOWSKI, ps. "Belcen-Belz"

urodził się w 1918 roku w Kamieńcu Podolskim (już w Rosji bolszewickiej). W 1924 roku przerzucony został (dosłownie!) wraz z młodszym bratem do Polski przez graniczny Zbrucz w okolicy Skały. Tu czekała już na nich matka, której udało się uciec znad dołu śmierci z rąk czekistów.

Rodzina osiedliła się w Tarnopolu, gdzie młody Jan uczęszczał do Szkoły Powszechnej im. S. Konarskiego. Gdy rodzina przeniosła się na wieś, podjął praktykę rolniczą w majątku polskiego ziemianina w Anielówce pod Tarnopolem. Tu, już pod koniec grudnia 1939 r., został zaprzysiężony w polskiej organizacji konspiracyjnej. Ta mała wiejska placówka AK podczas okupacji niemieckiej zajmowała się "małym sabotażem" na szosie do Tarnopola i Podwołoczysk.

W marcu 1944 r., już żonaty, zmobilizowany został do Armii Polskiej w ZSRR; został czołgistą i przeszedł cały szlak bojowy swojej dywizji.

Po powrocie z wojny otrzymał pracę w PGR Zakrzów w woj. opolskim. Wiosną 1947 r. skierowany został do Wymiarek na Dolnym Śląsku, gdzie zamieszkał już na stałe wraz z wysiedloną z Podola rodziną.

Od wielu lat był członkiem naszego Klubu "Podole", co wielce sobie cenił. Był kresowym Polakiem z krwi i kości, z tych, którzy darzą Polskę oraz swoją "małą ojczyznę" – żarliwą miłością. Był z tych wiernych i niepokornych Jej synów, którzy dla idei zdolni byli poświęcić nadspodziewanie dużo. Nieugięcie upominał się o prawdę historyczną, walczył z fałszem i zakłamaniem.

W konspiracji AK-owskiej awansował do stopnia chorążego. W latach 80-tych otrzymał z Londynu Krzyż i legitymację (nr 37977). Natomiast w lipcu 2003 r. przywieziono mu z Żar dokument awansu na stopień porucznika WP. W liście z tą wiadomością dodał następujący komentarz: *Bardziej niż awans, ucieszył mnie ten piękny orzeł z koroną, bo człowiek w tym wyrósł.*

Następnego dnia otrzymałam kolejny list (ostatni), w którym Pan Jan wspomina swoją wojenną drogę od Wołgi do Łaby, forsowanie Odry oraz swoich towarzyszy broni. Z tego listu wieje już smutek. Wyczuwa się tęsknotę za dzielną minioną młodością, za Podolem, za

czynnym działaniem na rzecz Kraju. Wrócił właśnie ze szpitala, czuje się chory i słaby. Na koniec przesyła ciepłe podziękowania za redagowanie „Głosów Podolan” i miłość do Podola. Napisał: *Ja to zabiorę ze sobą i będzie mi lekko.*

Wyrzutem odzywa się dziś we mnie głos, że nie znalazłam czasu aby odpisać obszernie na ten list. Proszę mi to wybaczyć Panie Janie...

Sądzę, że w Wymiarkach, zróżnicowanym ideowo i narodowościowo środowisku. czuł się samotny. Tam nie rozumiano ani Jego wrażliwości na wszystko, co związane było z Polską i ukochaną ziemią rodzinną, ani tym bardziej Jego żarliwej wierności i hierarchii wartości. Rozumiała Go może jedynie oddana żona Anna, ale już nawet nie wnuki.

Zmarł 22 września 2003 r. w Wymiarkach, pogrzebany 24 września na cmentarzu komunalnym w Witoszynie. Odszedł cicho skromny człowiek wielkiej szlachetności.

Historia polskiej rodziny RANICZKOWSKICH z Kamieńca Podolskiego oraz własna historia życia Pana Jana już w Polsce, przed, w czasie i po wojnie, to niemal filmowa opowieść o trudnym i wręcz bohaterskim życiu Polaków Kresowych. (Drukowaliśmy ją w naszych „Głosach” w nr. 31-42).

Irena Kotowicz

Prezes Klubu „Podole”

Śp. Alicja PETECKA-BARCIŃSKA

urodziła się w 1924 r., zmarła 11 lutego 2004 r. w Sopocie.

Była naszą koleżanką gimnazjalną w Czortkowie do 1939 r. Po aresztowaniu ojca przez NKWD po „powstaniu czortkowskim” i skazaniu go na łagry, została w kwietniu 1940 r. deportowana wraz z matką do Kazachstanu.

We wspomnieniach z tego zesłania B. Piotrowskiej-Dubik „Kwiaty na stepie” czytamy, że na uroczystym otwarciu szkoły polskiej w Semipałatyńsku *...jedna z dziewcząt, Ala Peteczka z Czortkowa, wspaniale recytowała „Ode do młodości”*. Później wpisała się do pamiętnika w *...dniu wyjazdu do Polski – 21.04.1946 r.* To tylko drobniutki okrusz z życia Ali w czasie Jej 6-letniego wygnania. Jedynie hart wewnętrzny pozwolił tej drobnej, kruchej dziewczynie przeżyć tam i powrócić do kraju.

Po powrocie osiedliła się na Wybrzeżu, ukończyła studia w Akademii Medycznej w Gdańsku i założyła rodzinę.

Spotkaliśmy się z Alą później, nad morzem i w Warszawie, w małym gronie koleżeńskim. Mimo bardzo trudnego życia na zesłaniu – zachowała pogodę, uśmiech i nieklamaną

serdeczność dla drugich. Po każdym z Nią spotkaniu jeszcze długo pozostawał w pamięci Jej radosny uśmiech i dźwięczny głos.

Zaprzyjaźniona z Alą wspólna koleżanka, Fredzia Rogoż-Mazurkiewicz z Wrzeszcza, donosząc o Jej śmierci pisze: *Była skromna, cicha, spokojna, zawsze pogodna i życzliwa, zawsze gotowa do niesienia pomocy lekarskiej chorym i potrzebującym. Była wspaiałym lekarzem laryngologiem. Troskliwą Matką i Babcią. Już była słabiutka, ale jeszcze idąc do mnie uśmiechała się z daleka i radośnie machała ręką. Lubiła moją rodzinę i my Ją witaliśmy zawsze radośnie w naszym domu.*

Msza żałobna odprawiona została w sopockim kościele. Z Czortkowian obecna była na niej tylko Fredzia z córką. Kremacja odbyła się na cmentarzu Srebrzysko we Wrzeszczu, a prochy Ali pochowane zostały w Elblągu w grobowcu rodzinnym.

Będzie nam brakowało Alu Twojej subtelnej czułości, radosnego uśmiechu i dobroci serca. Żegnamy Cię z bolesnym poczuciem straty...

Fredzia Rogoż-Mazurkiewicz i Irka Kotowicz – w imieniu wspólnych koleżanek i kolegów z Czortkowa.

Śp. por. w st. spocz. Józef PODRUCZNY, S. Macieja

urodził się 9 kwietnia 1920 r. w Skorodyńcach w pow. Czortków

Od młodości był zaangażowanym członkiem Związku Strzeleckiego w rodzinnej wsi, w której przeważała nieznacznie ludność ukraińska.

We wrześniu 1939 r. 19-letni wówczas Józef zgłosił się ochotniczo do oddziału Strzelców organizowanego przez Powiatową Komendę Związku z terenu całego powiatu. 18 września wziął udział w jego szeregach w boju pod Jazłowcem z wkraczającymi oddziałami Armii Czerwonej. Ponieważ siły radzieckie szybko rosły, dowódca zdecydował o wycofaniu się oddziału na Śniatyn, w kierunku granicy rumuńskiej.

Józef został w tej walce ranny w nogę, a jej stan pogarszał się, Komendant rozkazał mu więc na granicy powrócić do domu. Tylko w spodniach i bosy dotarł Józef do Skorodynec.

Tu i w okolicy rozpoczęły się morderstwa na Polakach z rąk ukraińskich nacjonalistów. Józef również był obiektem zainteresowania banderowców, toteż usunął się na pewien czas do pobliskiej, polskiej wsi Chomiakówka. Później, gdy przychodzili po niego banderowcy, ukrywał się w Skorodyńcach w kryjówce urządzonej pod podłogą.

W połowie 1943 roku masowe mordy na Polakach zaczęły przesuwać się z Wołynia na Podole. W początkach 1944 r. Józef mógł oficjalnie posiadać broń, pełniąc służbę w miej-

scowej samoobronie (Istreba. Bat.). Później wstąpił do Wojska Polskiego, wcielony do armijnego 1 Pułku Łączności. Podczas bombardowania Zielonki pod Warszawą został ranny i długo leczył się w Szpitalu Wojskowym nr 63 w Zamościu.

Po wojnie osiedlił się w Sulikowie na Dolnym Śląsku. Już na pierwszym zebraniu ZBoWiD-u w 1973 r. został wybrany prezesem Koła Gminnego i co 4 lata ponownie był wybierany na to stanowisko. Pełnił tę funkcję dożywotnio.

Posiadał cechy działacza i wrodzony talent organizacyjny. Z zaangażowaniem pracował w swoim środowisku, dzięki czemu przyczynił się do ożywienia życia i kultury wiejskiej ludności, organizując różne występy, festyny i zabawy ludowe. Tym samym integrował wyrzuconych z ojcowizny kresowych Polaków. Posiadał pamięć, znał doskonale teren i niemal wszystkich jego mieszkańców. Pamiętał również dobrze ludzi i wydarzenia z rodzinnych Skorodynec. Był koleżeński, towarzyski, gościnny, zrobił wiele dla swoich ziomków. W gminie organizował niemal wszystkie państwowe uroczystości i kombatanckie święta. Wadą Jego było to, że trudno wybaczać zły społecznie postęp.

Za swoją pracę otrzymywał pochwały i odznaczenia: Krzyż Oficerski Odrodzenia Polski, brązowy i srebrny medal Za Zasługi dla Obronności Kraju, odznakę Zasłużonego Działacza Ruchu Spółdzielczego oraz pamiątkowe medale LWP.

Zmarł 6 marca w Sulikowie i pochowany został na miejscowym cmentarzu. Przez ostatnie 10 lat spotykałem się z Józefem każdego poniedziałku i teraz mocno przeżywam jego odejście. Tęsknię za Nim.

Kazimierz Tymiński

Spopielone szczątki naszego śp. Kolegi z Czortkowa Koli **Tomaszewskiego** spoczęły nie w obcej ziemi (jak podałam w nr 63 GP), ale przywiezione zostały do Kraju.

W sobotę 24 kwietnia br. odbył się w Tarnowskich Górach Jego pogrzeb. Ponieważ tak bardzo tęsknił do Polski, Żona – Angielka zdecydowała, że powinien spocząć w polskiej ziemi obok swoich rodziców.

Dziękujemy Peggy.

I. K.